

Dlaczego to zrobić? Co może skłonić żeglarza do zatopienia własnego statku? 14 sierpnia 1992 roku o północy Webb Chiles rozpoczyna niewiarygodne przedsięwzięcie: zatopienie swojego jachtu „Resurgam”. Zabiera się do tego metodycznie, z wielką starannością. Zaczyna od zdemontowania wałka logu, robiąc w ten sposób pięciocentymetrowy otwór w kadłubie, tuż przed masztem. Natychmiast tryska stamtąd woda – słup morskiej wody, która powoli zaczyna wdzierać się do kabiny. Webb Chiles odsuwa się, by obserwować efekt swojej pracy. Przez kilka chwil tkwi bez ruchu. Następnie, po aprobującym skinieniu głową, wchodzi do kokpitu. Noc jest gorąca. W oddali widzi światła wybrzeża Florydy, a mówiąc bardziej precyzyjnie – miasta Fort Lauderdale. Żeglarz siada za sterem i bierze kurs na wschód. Przeciwny do światła miasta. Na pełne morze.

Dziwne to zakończenie... Webb Chiles nie jest nowicjuszem, nie cierpi na depresję. Pięćdziesięcioletni pisarz i łowca przygód ma za sobą już trzy wokółziemskie rejsy. Pierwszy raz, w 1973 roku, opłynął świat samotnie, tylko dwukrotnie zawijając po drodze do portu. Był wówczas pierwszym Amerykaninem, który opłynął Horn solo. W roku 1978 podjął niesamowitą próbę opłynięcia świata na otwartopokładowym „Chidiack Tichborne II” o długości 5,40 metra, jachciku bez kabiny i żadnej innej osłony od fal i wiatru! Wyruszył z San Diego, a następnie kontynuował swój szalony projekt etap po etapie: Markizy, Tahiti, Fidzi, Papua-Nowa Gwinea, Vanuatu, Australia, Indonezja, Singapur, Aden, Port Sudan, Suez, Malta, Portugalia, Wyspy Kanaryjskie... Tam, w porcie na hiszpańskich wyspach rejs się zakończył, a sztorm zatopił jego jacht stojący na kotwicy. Po przebyciu trzech czwartych wokółziemskiej trasy, stawiając czoła sztormom i falom zdolnym powalić budynki, „Chidiack Tichborne II” i Webb Chiles musieli się poddać na kotwiczowisku.

„Resurgam” jest trzecim jachtem amerykańskiego skipera. Został zbudowany w Wielkiej Brytanii według planów Sparkman & Stephens,

bardzo znanej amerykańskiej firmy projektującej okręty wojenne. Ma 11 metrów długości i jest otaklowany jako słup (ma jeden maszt). Webb Chiles kupił go w Anglii z drugiej ręki. Przeżył na jego pokładzie dziewięć lat, zapisując w swoim dzienniku pokładowym kolejny rejs dookoła świata. Jednak w sierpniu 1992 roku Webb Chiles ma wrażenie, że dotarł do końca pewnej historii – swojej własnej. Kilka tygodni wcześniej, na Karaibach, został staranowany przez frachtowiec. „Resurgam” jakimś cudem nie zatonął. Frachtowiec nawet nie raczył się zatrzymać. Żona, która towarzyszyła mu w kilku ostatnich rejsach, po przybyciu do Stanów Zjednoczonych odeszła od niego. A on nie ma żadnego nowego pomysłu. Jedyne, co odczuwa, to wrażenie, że dotarł do kresu podróży. „Żyj intensywnie, nawet jeśli miałoby cię to zabić, bo i tak na coś trzeba umrzeć” – napisał w jednej ze swoich książek. „Liczy się intensywność, a nie długość życia”. Tam, u wybrzeży Florydy, czuje, że jest gotowy, by zakończyć to wszystko. A nie ma lepszego końca dla żeglarza niż odejście wraz ze swym jachtem.

Siedząc w kokpicie, czeka, aż „Resurgam” pogrąży się w odmętach. Ma na sobie T-shirt i krótkie spodnie. Do kieszeni włożył portfel z kilkoma kartami kredytowymi, by ułatwić identyfikację zwłok. O ile, rzecz jasna, jego ciało zostanie odnalezione. Po godzinie wraca do kabiny, by sprawdzić poziom wody. Nieco rozczarowany stwierdza, że sięga ona tylko nieco ponad gretingi. Aby przyspieszyć zatonięcie, otwiera bakisty i wszystko, co w normalnej sytuacji pomaga jachtowi utrzymać się na powierzchni. Ze skrzynki narzędziowej wyjmuje klucz nastawny i sumiennie demontuje dławnicę, system uszczelnienia wału silnika. Woda zaczyna tryskać także przez wał napędowy. Następnie, zamiast odłożyć klucz na miejsce, wrzuca go do kabiny. W końcu jakie to teraz ma znaczenie...

Godzinę później „Resurgam” wciąż unosi się na powierzchni, ale poziom wody podniósł się już do koi. Z ciekawości Webb Chiles próbuje uruchomić silnik, ale nic się nie dzieje. 15 sierpnia o godzinie 3

nad ranem pokład jachtu znajduje się niemal poniżej poziomu morza. Ostatni cios zadaje mała fala, śmieszna jak na jacht, który przetrwał w „wyjących pięćdziesiątkach”; zalewa dziób i spływa przez cały pokład, zanim pogrąży go w otchłani. Gotowe. Jacht jest już pod wodą. Webb Chiles wstaje i spokojnie przekłada nogi przez reling, by zsunąć się do morza. „Resurgam” przechyla się, wystawiając dziób ponad fale. Skiper zauważa pąklę, która przywarła do bordowego kadłuba.

– To kiepski pomysł – mówi żeglarz, zwracając się do skorupiaka. – Nie przeżyjesz w głębinach, do których wybiera się „Resurgam”.

Jeszcze kilka minut i powoli znikną także top masztu. Nie robiąc przy tym wirów, jacht zmierza na dno oddalone od powierzchni wody o kilkaset metrów. I po wszystkim, to już prawie koniec. Webb zdejmuje okulary i ciska je w ślad za jachtem. Pomijając wszystko, nie widzi dobrze przez szkła zalane wodą, więc już ich nie potrzebuje. W oddali majaczy łuna świateł nad wybrzeżem Florydy. Webb Chiles unosi się na wodzie, czekając, aż morze zabierze go do siebie. Myśli o Sokratesie wypijającym cykutę z niesamowitym spokojem, tak jakby chciał powiedzieć: „Dlaczego miałbym bać się śmierci? Dopóki jestem, śmierci nie ma. A kiedy przyjdzie, nie będzie mnie”. Patrzy na światła palące się w oddali. Jak daleko jest od nich? Jakież 15 kilometrów? Może 20? W każdym razie za daleko. Odwraca się plecami do wybrzeża i wyływa w morze.

Podsumowuje swoje życie i myśli, że ma już dość. Poznał wystarczająco dużo mórz, przeżył wystarczająco dużo przygód, kochał wystarczająco dużo kobiet. Spoglądając w swoją przeszłość, widzi rekordy świata, rzeczy, których nie zrobił nikt inny, wspaniałe i mocne przeżycia, dzieła, które po nim zostaną. Opłynął przylądek Horn i uznał, że w końcu to nie takie trudne. Myśli także o swoim jachcie, który właśnie zniknął.

Gdzie jest teraz? Na czym osiadł? W jakiej pozycji? Spogląda na zegarek i ze zdziwieniem stwierdza, że jest 4 nad ranem. Od momentu,

gdy znalazł się w wodzie, minęła godzina. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Zdejmuje zegarek, który zawsze zabierał ze sobą na morze, i posyła go w głąbiny. Woda jest tak przejrzysta, że przez kilka sekund może odprowadzać go wzrokiem.

Poza koszulką i spodenkami nie zostało mu już nic. Przez kilka sekund zastanawia się także nad zdjęciem koszulki, ale ostatecznie decyduje się, by w niej zostać. Czeka. Tak naprawdę nie wie, na co, ale czeka. Na hipotermię? Na zmęczenie? Nie wie, co dopadnie go jako pierwsze, ale trwa to długo. Podświadomie przypuszczał, że stanie się to szybko. Woda jest jednak cieplejsza, niż się spodziewał. Bez wątplenia ma ponad 25 stopni Celsjusza. Chcąc zniknąć na zawsze, nurkuje więc, nie biorąc wdechu i płynie kilka metrów pod powierzchnię.

Jest jakieś 5 metrów pod wodą, gdy zaczyna brakować mu powietrza.

„Jestem w rozpaczliwej sytuacji” – myśli. „Nie boję się śmierci, obawiam się jednak bólu związanego z umieraniem”.

I ku własnemu zaskoczeniu stara się wydostać na powierzchnię. Coś wewnątrz niego nie chce umierać. Jeszcze kilka ruchów i jest na otwartej przestrzeni. Wreszcie jego płuca wypełniają się świeżym powietrzem. Nie umarł. I już nie chce umierać. Jakaś siła tkwiąca głęboko w nim nakazuje mu nie odpuszczać. Ta sama siła, która na Pacyfiku tysiące razy pomagała mu wybierać wodę, gdy fale zalewały jego otwartopokładową łódź. Ta sama, która po utracie jachtu pomogła mu przetrwać w tratwie pneumatycznej dryfującej przez 500 kilometrów aż do Vanuatu. I proszę, teraz też, 20 kilometrów od wybrzeża Florydy, gdy pływa w wodzie, w T-shircie i krótkich spodenkach. Żeglarz nawet nie próbuje analizować tak gwałtownej zmiany swojego nastawienia. Jeszcze dwie minuty temu był u końca procesu niszczenia swojego jachtu i samego siebie.

Dopiero gdy otarł się o śmierć, zdał sobie sprawę, że zależy mu na życiu. Kiedy 5 metrów pod powierzchnią wody jego płuca wypełniały

się śmiercionośnym płynem, ciało i dusza powiedziały „nie”. Nie, nie ma mowy. Nie możesz odejść w taki sposób. Nie, musisz żyć. Nie...

Teraz to oczywiste. Tak samo jak chciał umrzeć, tak od tej chwili chce żyć. Aby żyć. Chociaż tak daleko od brzegu, bez łódki i środków sygnalizacyjnych, trzeba mówić raczej o przetrwaniu.

Świt rozwiął tunę lądowych światła. Fale zrobiły się nieco większe. Webb Chiles jest dobrym pływakiem, ale warunki nie są takie jak na basenie czy w lagunie. Zaczyna miarowo płynąć na zachód. W stronę Florydy. Wie, że ma małe szanse, by dotrzeć tak daleko, ale nie będzie w stanie przetrwać, unosząc się na pełnym morzu. Musi działać. Czyli płynąć.

Po pięciu lub sześciu godzinach jest zaskoczony, jak łatwo mu to przychodzi. Płynie z dużą swobodą. Jednak łapią go dreszcze. Morze jest dość ciepłe, ale woda nie ma takiej temperatury jak ludzkie ciało, a on stracił dużo energii, przebywając w zanurzeniu tak długo. To pierwsza reakcja jego organizmu na zimno. Webb Chiles postanawia spróbować odzyskać siły przez ograniczenie ruchów do minimum. Wie, że ruszając się, traci najwięcej ciepła. Czeka więc, unosząc się na wodzie.

Oprócz naturalnego szumu fal i wiatru słyszy silnik. Charakterystyczny dźwięk maszyny, która zdaje się płynąć w jego kierunku. To diesel! Odwraca się, rozgląda dookoła. We mgle spowijającej morze widzi rybacki kuter, który chyba płynie kursem na niego. Lub prawie na niego: powinien przejść zaledwie 20 metrów od miejsca, w którym unosi się na wodzie! Kuter jest coraz bliżej. Webb ściąga więc swoją żółtą koszulkę i macha nią nad głową tak wysoko, jak tylko może.

– Ratunku! Pomocy!

Kuter przepływa obok niego, nie okazując najmniejszego zamiaru zatrzymania się. Dudnienie diesla zaczyna się oddalać.

– Dobra, nie pomagaj mi – rzuca obojętnym, fatalistycznym tonem Webb Chiles.